



Andrzej Mencwel

Z tego kłębka, a może nawet kłębowiska zagadnień, jakie stanowi współczesna problematyka kulturalna, z jej koniecznymi odniesieniami do przeszłości i pożądanymi wizjami przyszłości, wyciągam tylko jedną nić, ale to nie dlatego, że uciekam od zagadnień czy lękam się zagubienia w gąszczu, lecz dlatego, że nić tę uważam za główną, a nawet porządkującą kłębowisko, jeśli nie, jak nić Ariadny – zbawienną. Nicią tą są, moim stanowczym zdaniem, tak zwane organizacje pozarządowe, czyli – wracając do tradycyjnej polskiej terminologii, której nie ma już powodu unikać, bo jej nadużycia w dawnym reżimie wreszcie się zacierają – stowarzyszenia społeczne. Działalność tych stowarzyszeń ma w Polsce wielkie i piękne tradycje, także w okresie PRL stanowiły one nierzadko ośrodki twórczego skupienia, ale nie będą się tutaj do przeszłości odwoływać, bo czynię to często w swoich publikacjach i wystąpieniach. Samym zresztą kultywowaniem tradycji, bynajmniej w tej dziedzinie nie przesadnym, a raczej niedostatecznym, nie da się uzasadnić ich przyszłej ważności.

Stowarzyszenia społeczne rozkwitły też w III Rzeczypospolitej, bo swoboda takiej działalności jest jednym z warunków demokracji i stanowią one, być może, jedno z najważniejszych jej osiągnięć. Wszyscy mamy w pamięci spektakularne działania społeczne Jacka Kuronia, Marka Kotańskiego, Jerzego Owsiaaka, Janiny Ochojskiej, a w dziedzinie kultury bardziej selektywnie pojętej: Ośrodka „Pogranicze”, Stowarzyszenia „Borussia”, Stowarzyszenia im. Stanisława Brzozowskiego i innych. Tkanka tych działań jest bardzo rozprzestrzeniona i sięga nie tylko miast i miasteczek, ale także gmin i wiosek. Nawet jednak gdyby była równie gęsta jak sieć dróg (w Polsce nie nadmierna), to i tak samym starannym opisem nie przesądziłoby się o jej ważności. Racje tej ważności wykraczają bowiem poza wszelkie selekcje dziedzinowe i sięgają naszej przyszłości społecznej, kulturalnej i politycznej. Powinienem dodać – poddając się panującemu obecnie fasonowi mówienia, zwanego dyskursem – także ekonomicznej, ale fasonu tego i dyskursu nie respektuję. Powtarzanie, że „opłaca” nam się kształcić „ludzi kulturalnych”, bo są oni bardziej wydajnymi pracownikami najemnymi, jest po prostu niegodne.

Odwagę się powiedzieć, że nawet gdyby się okazało, iż wszystkie masowe media audiowizualne prowadzą działalność misyjną, a nie komercyjną, prasa codzienna i tygodniowa podlega nieustannej sublimacji, a nie tabloidyzacji, internet stał się siecią debat intelektualnych, a nie erupcji kanalizacyjnych – to i tak znaczenie stowarzyszeń społecznych w rzeczywistej naszej tkance międzyludzkiej i w rozwoju osobowym bynajmniej by nie zmalało. Jest dość, jeśli nie nadto oczywiste, że żaden z tych cudów powyżej wywołanych nie nastąpi w dającej się przewidzieć przyszłości – przeto znaczenie tych stowarzyszeń i ich waga będą odpowiednio większe. Ale nie zamierzam poprzestać na stanowczych zapewnieniach ani też futurologicznych przypuszczeniach, chcę natomiast przekonywać rzetelnie, że we współczesnej, a zwłaszcza nadchodzącej (współczesna jest właściwie nadchodzącą) sytuacji kulturalnej stowarzyszenia te stanowią ową nić zbawienną w jej kłębowisku. Trzy kręgi argumentacji składają się na tę rzetelność: globalny, krajowy, lokalny. Przedstawiam je zwięźle, lecz, mam nadzieję, jasno.

I tak:

W skali globalnej, dla kultury pojętej zarówno antropologicznie, jak i artystycznie, czynnikiem podstawowym są narodziny, rozwój i ekspansja nowego medium, jakim jest internet. Inne aspekty globalizacji, mianowicie inwestycyjne, produkcyjne czy komercyjne możemy tutaj nie tyle pominąć, co zawiesić, gdyż albo ich oddziaływanie kulturowe i kulturalne jest wtórne, albo też dokonuje się za pośrednictwem

internetu. To nowe medium nie ma sobie równych w dziejach świata – zarówno co do pojemności, jak i zasięgu oddziaływania. Jego pojemność, jak wiadomo, jest nieograniczona, jego zasięg błyskawicznie stał się globalny, jego oddziaływanie wkracza we wszystkie właściwie dziedziny życia, od życia powszedniego począwszy, a na sztuce wysokiej skończywszy. Na dodatek medium to, niosąc w sobie od razu zadatki upragnionej (co najmniej od czasów romantycznego *Gesamtkunstwerk*) multimedialności, naprawdę ją realizuje i właśnie widzimy, jak zaczyna wchłaniać radio i telewizję. Nie wdaję się jednak w żadne przepowiednie co do tego, jaka będzie ta przyszła multimedialność i nie zamierzam też lamentować z powodu przewagi rzeczywistości wirtualnej nad realną. Internet uważam za równie niebywałą zdobycz w dziejach ludzkości, tym samym kultury ludzkiej, jak niebywała jest jego pojemność i zasięg. Nie jestem jednak technofilem ani technofobem, to znaczy nie sądzę, że internet (wynalazek w końcu techniczny) jest automatycznym nosicielem samego dobra, podobnie jak nie sądzę, że jest on nosicielem samego zła. Jesteśmy niewątpliwie w toku największej w dziejach rewolucji komunikacyjnej, a jak każda tego typu rewolucja wkracza ona w strukturę więzi międzyludzkich oraz konfigurację ludzkiej osobowości.

Krytyczne uświadamianie skutków tej rewolucji jest równie trudne jak rozpoznawanie skali jej oddziaływania, jest jednak konieczne, jeśli nie mamy popaść w bezbronną niewolę technofilskiej lub technofobicznej ideologii. Internet niewątpliwie poszerza czy nawet multiplikuje sieć naszych relacji międzyludzkich na skalę globalną (czego skromną zapowiedzią były dawniej telegraf i telefon); równie niewątpliwie wzbogaca, a może i przekształca konfigurację naszej osobowości o wszystkie te relacje, multimedialnie zarazem (więc nie tylko słowem, lecz także obrazem i dźwiękiem) je wzmacniając. Atrakcje tego poszerzenia i wzbogacenia są już powszechnie znane i popularyzowane i ja sam z nich korzystam. Zwracam jednak uwagę na „obiektywną”, by tak rzec, to znaczy sięgającą trwałości i żywotności społeczeństw ludzkich granicę tej atrakcyjności – przebiega ona tam, gdzie komunikacja zapośredniczona przez media techniczne styka się z komunikacją ustną twarzą w twarz, to znaczy tam także, gdzie pierwotne i bezpośrednie stosunki międzyludzkie stykają się ze stosunkami wtórnymi i funkcjonalnymi. Mediami technicznymi były także pismo i druk, wzbogacały one istotnie kulturę ludzką (i były niewątpliwie wehikułami strukturalnych przekształceń społecznych, czyli rewolucji), ale nie zastępowały komunikacji ustnej, choć zmieniały jej miejsce. Internet nie tylko, co już powtarzam, pojemnością i zasięgiem przeważa niebywale nad pismem i drukiem, ale także wydaje się zajmować i zastępować komunikację ustną, twarzą w twarz (stąd myślący zresztą, moim zdaniem, koncept „wtórnej oralności”). To dlatego pisze się o nim często jako o „zagrożeniu dla więzi międzyludzkich”. Nie sądzę, żeby takie niebywałe, jak ciągle podkreślam, wzbogacenie możliwości ludzkiej komunikacji sprowadzało się do zagrożenia, ale granice tego wzbogacenia trzeba krytycznie wskazywać: właśnie tam, gdzie chodzi o bezpośrednią komunikację ustną i stosunki międzyludzkie twarzą w twarz. Cała nasza wiedza o kulturze i społeczeństwie mówi nam, że to ta komunikacja i te stosunki są źródłem żywotności społecznej i kultury twórczej. Dokonują się one w rodzinie, grupie rówieśniczej, wspólnocie sąsiedzkiej, a w rozwiniętych społeczeństwach nowoczesnych – w stowarzyszeniach społecznych. I to jest pierwszy z powodów, dla których upatruję w nich ową nić Ariadny – tylko one są w stanie wyprowadzić nas z potrzasku, w jaki wpędzić nas mogą technofile pospołu z technofobami. Tym bardziej racjonalnie przyjmować będziemy rzeczywiste zdobycze nowego medium

i tym bardziej spokojnie będziemy regulować jego negatywne skutki – im szerzej, trwalej i bardziej różnorodnie będziemy stowarzyszeni.

Argument krajowy wydaje się być polityczny, ale jest właściwie przedpolityczny, przeto mocniejszy, a nie słabszy, jak pewnie chcieliby sądzić ci, którym polityczność zredukowała się do obecnej tak zwanej sceny politycznej i jej występów estradowych. Protagonisci tej sceny oraz ich dyżurni komentatorzy zamknęli nam właściwie ogląd całego społeczeństwa do tej właśnie sceny, a położonej poza nią populacji prawie nie znamy. Społeczeństwo zakłada jakieś złożone więzi między tworzącymi je osobami i grupami, populacja natomiast to ta niemala część naszych współmieszkańców, o których nie wiemy, jakie więzi wybiera i jakimi jest przywiązana. W ostatnich wyborach do parlamentu europejskiego frekwencja była w skali kraju bardzo niska (nie osiągnęła jednej czwartej uprawnionych), a w niektórych miastach i gminach żenująco niska (na Mazowszu ledwie przekraczała jedną dziesiątą wyborców). W elekcjach innych – prezydenckich, parlamentarnych i samorządowych – jest lepiej, bywa znacznie lepiej, ale nigdy nie jest dobrze, bo pozostajemy w nich najwyżej przy uczestnictwie około połowy uprawnionych. Połowa zatem naszej populacji, czyli potencjalnych obywateli, nie bierze udziału w najłatwiej dostępnej i najmniej zobowiązującej formie uczestnictwa w życiu publicznym – wrzucić kartkę do urny raz na kilka lat, to doprawdy mniej niż obywatelskie minimum. Prawie nic o nich nie wiemy, bo wszystkie sondaże i badania opinii zwracają się do tych, którzy należą do sceny politycznej (oznajmniają swoje sympatie dla partii i stronnictw), a już zwłaszcza nie wiemy, czy niegłoszący biorą udział w innych formach życia publicznego. Badanie korelacji pomiędzy odmową czy też zaniechaniem uczestnictwa we wszelkich wyborach a brakiem przynależności do jakichkolwiek stowarzyszeń (choćby był to chór parafialny czy koło ochotniczej straży pożarnej) zdaje się przekraczać stopniem komplikacji kompetencje naszych ośrodków badawczych. Natomiast współcześni socjologowie coraz większą uwagę zwracają na „gęstość przestrzeni społecznej”, a więc na pierwotne, bezpośrednie więzi społeczne idące w parze z komunikacją ustną, twarzą w twarz. Mogę powtórzyć znowu, że cała nasza wiedza społeczna i humanistyczna mówi nam, że to w tych więziach realizują się naprawdę solidarność i wzajemność, a bez nich tkanka międzyludzka ulega erozji i atrofii, których nieuniknionym skutkiem są wszelkiego rodzaju dewiacje: alkoholizm, narkomania, przestępczość, agresja wobec siebie i innych. Zarówno z tych powodów negatywnych – aby zapobiegać szerzeniu się tych dewiacji, jak i z powodów pozytywnych – aby użyźnić i uprawiać u nas glebę obywatelską, stowarzyszenia społeczne winny się znaleźć w centrum naszej uwagi. To ich sieć, gęstość i aktywność przekształca naprawdę populację w społeczeństwo i to one przemieniają mieszkańców w obywateli. Z niepokojącym zdziwieniem przyjąłem do wiadomości, że w programie Kongresu Kultury Polskiej nie ma sesji poświęconej stowarzyszeniom – ich przeszłości, znaczeniu i przyszłości. A przecież przewodniczący Rady Programowej tego Kongresu, profesor Piotr Sztompka, jest znanym i uznanym rzecznikiem zaufania społecznego. Które bez gęstej sieci stowarzyszeń może być tylko moralistyczną abstrakcją.

Przechodząc do argumentacji lokalnej, chciałbym uniknąć najpierw fałszywego przeciwstawienia tego, co globalne (internet), temu, co lokalne (mowa żywa). Wiem dostatecznie dobrze, że działają u nas nie tylko portale społecznościowe o zasięgu krajowym, ale także miejskim i gminnym, a ich znaczenie więziotwórcze i kulturotwórcze trudno przecenić. Jednocześnie poziom upowszechnienia internetu jest u nas ciągle niski, a opłaty za jego użytkowanie horrendalnie wysokie.

Chętnie poparłbym taką manifestację technofili, która zmusiłaby władze wszystkich szczebli do działań radykalnie zmieniających tę sytuację. Ale tutaj, w tym punkcie lokalnym chciałbym się zająć najniższym, najbardziej elementarnym, prymordialnym, jak się czasem mówi, poziomem integracji społecznej. Jest to poziom małżeństwa, rodziny, więzi pokrewieństwa i powinowactwa. Od dawna, można powiedzieć, że od tak dawna, jak prowadzi się u nas takie badania, podkreśla się, że są to w naszym społeczeństwie więzi silne, tradycyjnie i współcześnie. Mimo narastania czynników dezintegrujących, pozostają one nadal najsilniejsze – rozwodów jest mniej niż za granicą, dobra rodzina stanowi pragnienie młodych, pokrewieństwa i powinowactwa nie rozpraszają się tak, jak gdzie indziej. Pewnie nie można już mówić o silnych więziach rodowo-plemiennych, ale sławna sentencja Claude'a Levi-Strausse'a stosuje się do nas lepiej niż do innych – małżeństwo zawiera się po to, aby pozyskać szwagrów. A ze szwagrami, wiadomo – dodatek prawdziwie lokalny – najlepiej robi się interesy. To półzartobliwe orzeczenie wskazuje problem poważny, wielokrotnie również w badaniach potwierdzany, między integracją rodzinną i narodowo-patriotyczną (bo raczej nie państwową) Polacy na ogół żyją w próżni społecznej. W tej próżni rodzina z jej okólnymi więziami jest, oczywiście, ostoją identyfikacji osobistej, ale staje się także jedynym ośrodkiem interesu osobistego. Redukcja wszelkich innych identyfikacji oraz interesów do rodzinnych jest zjawiskiem dobrze w Polsce znanym i każdy z nas może wskazać niezliczone jej objawy – aż do śmieci w lasach i psich kup na chodnikach. Dobro wspólne wykraczające ponad ten poziom identyfikacji odbierane jest jako pusta abstrakcja, a potencjalne społeczeństwo niepostrzeżenie przekształca się w statystyczną populację. Jest chorobliwym złudzeniem, wyrosłym już na gruncie tego znieprawienia, mniemanie, że abstrakcję tę wypełni się patriotyczną frazeologią, a populację przemieni w społeczeństwo przez „rewolucję moralną”. Jeśli ta próżnia społeczna między rodziną, doświadczaną egoistycznie, a narodem pojmowanym frazeologicznie nie zostanie wypełniona rzeczywistymi i wybranymi świadomie więziami społecznymi, erozja zarówno rodziny, jak i narodu będzie nieunikniona. Matecznikiem – by tak rzec – więzi społecznych rzeczywistych i świadomie wybranych są stowarzyszenia społeczne i to ich gęstość, barwność i różnorodność tworzy zdrową tkankę społeczeństw nowoczesnych. Mamy w tej dziedzinie znakomite tradycje sięgające początków XIX wieku, a więc już dwustulecie, mamy ciekawą współczesność żywych „organizacji pozarządowych” (w samej Warszawie jest ich ponad 10 tysięcy), mamy, a raczej mieć musimy, aby nie ocknąć się na piasku anomii, owocną przyszłość. Apeluję, aby obecny Kongres Kultury Polskiej zwołał kongres następny, jako Kongres Stowarzyszeń Społecznych i Kulturalnych. „Bo czas już nadszedł” – jak powtarzał Edward Abramowski. Jeden z wielkich patronów tego ruchu.

* * *

Kongres Kultury Polskiej w Krakowie odbył się w dniach 23–25 września 2009 roku. Był on inicjowany przez ówczesnego ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego oraz programowany przez Radę, której przewodził profesor Piotr Sztompka. Przygotowania do niego zaczęły się odpowiednio wcześniej, a wiosną 2009 roku zwrócono się do mnie (nie pamiętam już kto, a korespondencji nie zachowałem) z propozycją przygotowania artykułu do książki, która miała zostać wydana na Kongres i przedstawiona jego uczestnikom. Propozycję przyjąłem, artykuł napisałem

i przesłałem organizatorom, którzy jednak żadnej książki nie wydali, ani na Kongres, ani po nim. Artykuł szczęśliwie mi się uchował i przedstawiam go obecnie, dziękując redakcji periodyku „Kultura i Rozwój” za możliwość publikacji. Jego aktualność pozostawiam ocenie czytelników.

Andrzej Mencwel (wrzesień 2016)